

O INFLACJI I CENACH ENERGII.

POLICY BRIEF

MACIEJ BUKOWSKI

WARSZAWA 2021

SPIS TREŚCI

2.	Jakie są główne przyczyny podwyższonej inflacji w roku 2021?.....	2
3.	Dlaczego energia zdrożała?.....	3
4.	Czy powinniśmy spodziewać się zielonej inflacji?.....	4
5.	Bójmy się raczej niedoborów energii.....	5
6.	Czas nadrabiania zaległości.....	6

1. WPROWADZENIE

Widmo inflacji krąży nad Polską. O tzw. drożyznie mówią już chyba wszyscy – od analityków gospodarczych, przez publicystów i polityków, po zwykłych obywateli, których szybko rosnące ceny dotyczą najbardziej. W tej kakofonii głosów trudno jest odróżnić pospiesznie wyrażane poglądy, od uzasadnionych opinii, a nawet faktów. Szczególnie dużo nieporozumień kumuluje się wokół kwestii wzrostu kosztów energii i jej nośników, jego przyczyn oraz perspektyw na przyszłość w tym strachu przed tzw. „zieloną inflacją”.

Jakie są główne przyczyny podwyższonej inflacji w roku 2021?

Głównym powodem przyspieszenia inflacji w skali świata jest pandemia COVID19, a w zasadzie dwa zjawiska, które wywołała. Po pierwsze, zaburzyła ona strukturę światowego handlu. Popyt przesunął się z usług na dobra trwałe, na czym skorzystał przemysł przetwórczy – w tym polski – który szybko wyszedł z dołka wywołanego ograniczeniami administracyjnymi wprowadzanymi wiosną zeszłego roku. Przesunięcie to jednak nie było równomierne tj. nie dotyczyło w równym stopniu wszystkich rodzajów dóbr oraz wszystkich państw świata. W efekcie globalne łańcuchy wartości zaczęły popadać w swoiste „korki”: jedni producenci nie mogli nadążyć z produkcją, innym zaczęło brakować kluczowych komponentów, wszystkim we znaki dały się niedobory kontenerów i rosnące koszty logistyki. Na domiar złego w wielu krajach problemem – sektorowym lub ogólnogospodarczym - stała się podaż pracy. Część pracowników (przede wszystkim imigranci, kobiety, ludzie młodzi oraz osoby w pobliżu wieku emerytalnego), wycofała się bowiem z rynku pracy w obawie przed kolejnymi falami pandemii i dezorganizacją życia przez nie wywołaną albo zmieniała branżę na mniej narażoną na ograniczenia. W wielu gałęziach gospodarki światowej wzrosły więc koszty, zmuszając producentów do podwyżek cen lub ograniczenia produkcji.

Wzrost cen okazał się dla wielu producentów najłatwiejszą opcją bowiem drugą – a zarazem najważniejszą - przyczyną przyspieszenia inflacji po pandemii COVID19 był dominujący na świecie model przeciwdziałania jej gospodarczym skutkom. Sięgające nawet kilkunastu procent PKB programy stymulacyjne, połączone z ultra łagodną polityką monetarną, która zepchnęła stopy procentowe do rekordowo niskich poziomów nie mogły pozostać bez wpływu na rynki aktywów, surowców naturalnych oraz dóbr finalnych nawet gdyby te nie zostały dotknięte opisanymi zaburzeniami podażowymi. Zwykli ludzie, inwestorzy i przedsiębiorcy ruszyli na zakupy wydając w krótkim czasie gotówkę jaka znalazła się w ich portfelach w wyniku hojnych programów rządowych, tańszych kredytów lub po prostu oszczędności zgromadzonych w pierwszej połowie 2020 roku kiedy popyt znacząco spadł. Wobec ograniczeń podażowych przełożyło się to na szybki wzrost cen w zasadzie wszystkiego: akcji, posiłków w restauracjach, komputerów, nieruchomości, usług fryzjerskich, żywności, ropy naftowej, kryptowalut czy uprawnień do emisji CO2. Na wielu rynkach można już chyba mówić o symptomach tzw. drugiej rundy tj. wzrostu cen w wyniku ugruntowywania się przekonań, że będzie jeszcze drożej a więc czekanie z zakupem akcji, nieruchomości, nowego telewizora czy nawet posiłku w restauracji byłoby nierozsądne. A skoro ludzie kupują, to można podnosić ceny. Warto podkreślić, że Polska po 2015 bardzo złagodziła swoją politykę monetarną ustalając stopy procentowe na poziomie charakterystycznym dla dużo bardziej rozwiniętych gospodarek UE, a zarazem – za pośrednictwem reform fiskalnych przesunęła kilka procent PKB z inwestycji na rzecz konsumpcji. Skutek tej „szarzy optymizmu” w postaci nawrotu podwyższonej inflacji było widać już przed pandemią. Sięgający 10% PKB koszty tarcz anty-COVID19 oraz koordynowana z nim ultrałagodna polityka monetarna podparta gołębią retoryką prezesa NBP zwielokrotniły ten problem przekształcając Polskę pod koniec 2021 w jeden z najbardziej inflacyjnych krajów w OECD (CPI rzędu 7-8% przy 2% dla Portugalii).

Drożyzna stała się więc – przynajmniej chwilowo – faktem, a perspektywy jej szybkiego ograniczenia do poziomów przedpandemicznych są coraz bardziej iluzoryczne, przynajmniej dopóki nie wzrośnie determinacja poszczególnych rządów (na czele z polskim) oraz banków centralnych (na czele z NBP) do znacznego zmniejszenia obecnej stymulacji fiskalno-monetarnej. Bez konsolidacji finansów publicznych z jednej strony oraz szybkiego powrotu stóp procentowych do poziomu sprzed pandemii lub nawet sprzed dekady z drugiej, trudno jest liczyć na znaczącą dezinflację w roku 2022 i to pomimo tego, że zaburzenia podażowe będą prawdopodobnie szybko zanikać wraz z wkładem jaki wnoszą do inflacji ogółem. Co zaskakujące polskie media zdają się czynnik fiskalno-monetarny uznawać za drugorzędny, koncentrując się właśnie na kwestiach podażowych a zwłaszcza paliw i energii, jako na głównej przyczynie a zarazem ucieleśnieniu inflacji. Niektórzy z komentatorów zaczęli wręcz mówić o „zielonej inflacji”, przypisując znakomitą część obserwowanych wzrostów

cen, nie rynkom surowcowym a polityce energetyczno-klimatycznej UE, a także wieszcząc dalsze nasilenie problemu w związku z realizacją pakietu „Fit for 55”, czyli grupy zmian mających doprowadzić do redukcji emisji gazów cieplarnianych o ponad połowę do roku 2030. Czy te przewidywania są uzasadnione?

Dlaczego energia zdrożała?

W ostatnim roku mogliśmy na całym świecie obserwować wyjątkowo dużą dynamikę cen energii pierwotnej (ropa naftowa, węgiel, gaz ziemny) oraz finalnej (elektryczność i ciepło). Między październikiem 2020 a październikiem 2021 ropa naftowa zdrożała dwukrotnie, a węgiel i gaz ponad trzykrotnie. Stało się tak z trzech powodów. Po pierwsze, podobnie jak po każdym większym kryzysie gospodarczym (np. Wielkiej Recesji z roku 2008) gwałtownie wzrósł popyt na dobra i usługi. Do poziomu sprzed pandemii powróciły nasza konsumpcja i mobilność, a więc także zapotrzebowanie na paliwa i energię niezbędne do produkcji i transportu. Zarazem wiele państw – na czele z Chinami – zaczęło odtwarzać lub nawet zwiększać zapasy rezerw strategicznych, przez co światowy popyt na wszystkie surowce wzrósł do poziomu większego niż przed pandemią. Jednocześnie, krótkookresowe możliwości zwiększenia podaży surowców w odpowiedzi na zwiększony popyt są ograniczone – na przeszkodzie stoi infrastruktura wydobywcza (szyby naftowe, gazowe, kopalnie itp.) i transportowa (tankowce, gazowce, rurociągi itp.), której nie można w sposób elastyczny zmienić w odpowiedzi na skok popytu. Zwiększony popyt musi się więc przełożyć na wzrost cen i to gwałtowny bowiem przy silnych ograniczeniach podaży koszt zwiększenia podaży energii o jednostkę jest bardzo wysoki. Pod tym względem rynki surowcowe przypominają słynny rynek mięsa wieprzowego, który podlega gwałtownym wahaniom między nadprodukcją a niedoborem, wywoływanymi nieelastyczną reakcją podaży na wahania popytu. Na tego typu rynkach w okresie spowolnienia gospodarczego część wytwórców i pośredników o najwyższych kosztach wytwarzania zaprzestaje aktywności. Gdy ceny ponownie rosną, nie mogą oni w krótkim czasie zwiększyć produkcji ze względu na brak rezerw oraz ograniczenia techniczne. Jeśli na ten problem nałoży się polityczne lub komercyjnie motywowane ograniczenie dostaw (a przynajmniej brak woli ich zwiększenia) przez wytwórców o niskich kosztach krańcowych, duży wzrost cen surowców jest nieunikniony.

Tak właśnie stało się w latach 70. kiedy w wyniku zmowy cenowej państw OPEC w sytuacji dużego popytu, skokowo skoczyły ceny ropy naftowej. Tak też się stało prawdopodobnie w tym roku na europejskim rynku gazu ziemnego w wyniku gwałtownego wzrostu popytu na LNG ze strony nie tylko Europy ale i Azji. Bez możliwości zastąpienia gazu ciekłego gazem pochodzącym z magazynów lub rurociągów, eksplozja cen tego surowca w Europie była nieunikniona, podążając ścieżką znaną z wcześniejszych okresów kiedy gospodarka światowa gwałtownie przyspieszała (np. po Wielkiej Recesji 2008). Rachuby liczące na ograniczenie tego wzrostu dzięki dodatkowemu importowi z Rosji okazały się płonne bowiem - prawdopodobnie w wyniku decyzji dostawcy, pragnącego w ten sposób wyrzucić presję na szybsze dopuszczenie do eksploatacji gazociągu Nordstream2 – podaż gazu z kierunku wschodniego pozostała znacznie niższa od możliwości przesyłowych. Mimo dysponowania dużą i zdywersyfikowaną infrastrukturą kraje UE (oraz Wielka Brytania) w krótkim okresie skazane zostały na znaczny wzrost rachunków za energię nie tylko pierwotną ale i finalną. Na domiar złego bowiem struktura technologiczna europejskich systemów energetycznych w wielu państwach UE, powoduje bowiem, że równoległy szok cenowy na rynkach surowcowych – gazu, węgla i ropy naftowej - natychmiast przekłada się na ceny energii elektrycznej i ciepła. Podwyższone zapotrzebowanie zderza się bowiem ze strukturą technologiczną systemów energetycznych, w której rolę źródeł regulujących pełnią bloki gazowe lub (rzadziej) węglowe. W sytuacji wysokiego popytu na elektryczność koszty jej produkcji właśnie w tych blokach, a nie w blokach pracujących w podstawie czy środku systemu energetycznego, decydują o cenie hurtowej. Dzieje się tak nawet w państwach w których mix elektroenergetyczny jest zdominowany przez źródła zeroemisyjne: bloki jądrowe, wiatrowe czy wodne, które produkują elektryczność znacznie taniej niż zasilane drogim surowcem instalacje gazowe i węglowe. Nawet w najbardziej zdekarbonizowanych systemach energetycznych UE źródła zeroemisyjne nie są bowiem w stanie zaspokoić w całości tak wysokiego popytu na energię elektryczną jaki obserwujemy obecnie. Rezultatem jest to, że cena na rynku hurtowym wyznacza jest przez koszt produkcji w elektrowniach termalnych opalanych węglem lub gazem, których koszt generacji jest silnie uzależniony od cen surowców. Jest to dobra wiadomość dla tych producentów, którzy dysponują dużą flotą źródeł zeroemisyjnych o niskiej lub zerowej paliwo-łchłonności produkcji, a zarazem zła wiadomość dla konsumentów i przemysłu, którzy z energii korzystają.

Warto podkreślić, że w Polsce wzrost cen elektryczności był w roku 2021 wyraźnie mniejszy niż w innych państwach UE. Po części stało się tak ze względu na efekt bazy (rok temu mieliśmy najdroższą energię elektryczną w EU), a po części na dużo mniejszy wzrost kosztów generacji w źródłach krajowych. O hurtowej cenie elektryczności w Polsce decyduje bowiem koszt generacji nie w źródłach gazowych, a węglowych, które

zarazem mogły być jak dotąd opalane relatywnie tanim surowcem krajowym, którego cena oderwała się od cen światowych. W czasie pandemii i okresie bezpośrednio ją poprzedzającym polskie kopalnie, producenci energii oraz Agencja Rezerw Materiałowych zgromadzili bowiem znaczne zapasy czarnego paliwa, co ograniczyło wzrost kosztów wytwarzania energii elektrycznej w Polsce w porównaniu z tymi krajami UE, które nie dysponując rezerwami gazu lub węgla były bardziej wrażliwe na zmiany bieżących cen tych surowców na rynkach światowych. Skok popytu na paliwa kopalne w skali świata i eksplozja ich cen otworzyły jednak przed polskim sektorem górniczym perspektywy eksportowe, przekładające się na szybkie zmniejszanie się zapasów węgla ograniczane jedynie możliwościami transportowymi PKP Cargo i zawartymi już kontraktami. Jeśli wysokie ceny węgla na rynkach światowych utrzymają się przez wiele miesięcy eksport węgla zacznie przesuwać się na koszty jego zakupu także dla polskich firm energetycznych, a tym samym także na ceny na krajowym rynku hurtowym energii elektrycznej.

Zmiana Polski na przestrzeni roku 2021 z najdroższego w jeden z najtańszych rynków energii w EU jest więc zjawiskiem przejściowym, zwłaszcza, że jednocześnie – zgodnie z naturą rynków surowcowych – za przejściową należy uznać sytuację bardzo wysokich cen gazu ziemnego i innych surowców energetycznych na świecie. Wraz z zapełnieniem magazynów przez głównych odbiorców (USA, Chiny, Europę), zwiększeniem podaży tych surowców oraz stabilizacją logistyki należy się spodziewać szybkiego powrotu cen gazu, węgla i ropy do poziomów zbliżonych do tych sprzed pandemii, a być może nawet niższych. Może się to wydarzyć w ciągu zaledwie kilku miesięcy, boomy surowcowe są bowiem na ogół krótkotrwałe, a więc krótkotrwały jest także wkład jaki wnoszą w inflację ogółem.

Czy powinniśmy spodziewać się zielonej inflacji?

Część publicystów zaczęło w ostatnim czasie prognozować, że w średnim okresie głównym problemem gospodarczym UE będą koszty prowadzonej przez Wspólnotę polityki klimatycznej. Miałyby one w latach dwudziestych zaowocować zjawiskiem, które ochrzczono mianem „zielonej inflacji”. Jej źródłem miałyby być przede wszystkim system EU ETS, w którym koszt produkcji energii z paliw kopalnych powiększany jest o koszt zakupu świadectw uprawniających do emisji CO₂ w proporcji uzależnionej od rodzaju zużywanego paliwa. System ten został wprowadzony kilkanaście lat temu jako stosunkowo proste a zarazem skuteczne narzędzie redukcji emisji. Regulator ustala w nim dopuszczalny poziom emisji, pozostawiając zarazem mechanizmom popytu i podaży ustalenie ceny pojedynczego uprawnienia. Każdy producent może wybrać czy bardziej opłaca mu się kupić uprawnienia czy zainwestować w technologię redukującą jego emisje. System ten zachęca do przejścia na tzw. „czyste technologie” w pierwszym rzędzie te firmy, które dysponują atrakcyjnymi kosztowo opcjami redukcyjnymi. Technologia wiążąca się z niewielką emisją gazów cieplarnianych przynosi bowiem podwójną korzyść – wykorzystujące ją przedsiębiorstwa unikają ponoszenia kosztu zakupu uprawnień, a jednocześnie korzystają ze wzrostu cen u emitującej konkurencji. Koszt zakupu świadectw emisyjnych działa bowiem jak podatek pośredni typu akcyzowego a więc płacą go konsumenci z tą różnicą, że tylko w części trafia on do budżetu państwa, bowiem reszta przejmowana jest przez tych wytwórców, którzy zawczasu zainwestowali w technologie umożliwiające redukcję emisji gazów cieplarnianych.

W chwili obecnej systemem EU ETS objęci są producenci energii elektrycznej oraz część branż przemysłowych (np. produkcja cementu, nawozów, stali). W ramach pakietu Fit for 55 rozważa się objęcie nim także ciepłownictwa oraz ogrzewania indywidualnego i transportu. Zarazem stopniowo zmniejszać się ma pula dostępnych na rynku uprawnień EU ETS co powinno prowadzić do wzrostu ich cen. Czy to oznacza, że należy oczekiwać trwale wyższych rachunków za energię elektryczną, ogrzewanie i transport? Okazuje się, że odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna. To w jakim stopniu koszt uprawnień do emisji przenosi się na ceny energii zależy bowiem od równowagi między popytem a podażą oraz dominującego rodzaju technologii jaką posługują się wytwórcy w danym systemie energetycznym. W przypadku energii elektrycznej to w jakim stopniu jej cena będzie obciążana kosztami emisji zależy od (skorygowanej o import) struktury technologicznej krajowego systemu elektroenergetycznego. Jeśli dysponuje on taką ilością zeroemisyjnych mocy produkcyjnych (np. wiatrowych, jądrowych czy wodnych), która wystarcza do pokrycia zapotrzebowania na energię przez większą część roku, jej cena będzie zazwyczaj niezależna od rynkowej ceny uprawnień EU ETS. Popyt z podażą równoważyć się bowiem będzie przy cenie wyznaczonej przez koszt krańcowy produkcji wytwórcy nie emitującego CO₂. W takich krajach tylko w rzadkich przypadkach szczególnie wysokiego zapotrzebowania na energię albo jej wyjątkowo niskiej podaży ze źródeł zeroemisyjnych (np. w wyniku złych warunków pogodowych czy technicznych wyłączeń bloków nuklearnych) odbiorcy na rynku hurtowym „zobaczą” koszt CO₂ w cenie energii. Będą to przy tym prawdopodobnie jedynie odbiorcy hurtowi dla których przez niewielką część godzin w roku cena zakupu energii będzie pochodną kosztu wytworzenia u najdroższego, a zarazem

emisyjnego producenta. W takich krajach wpływ EU ETS na cenę hurtową energii będzie więc niewielki a potrzeba jego uwzględniania w rachunkach detalicznych (dla gospodarstw domowych) nie pojawi się.

W innej sytuacji znajdują się te systemy energetyczne, które będą się dekarbonizować dużo wolniej niż inne, a przede wszystkim wolniej niż tempo wycofywania z rynku uprawnień EU ETS. W nich bowiem cena energii będzie zawsze, lub prawie zawsze obciążona – prawdopodobnie rosnącą - ceną zakupu uprawnień do emisji CO₂, w podobny sposób w jaki obecnie podatkiem akcyzowym obciążona jest benzyna na stacjach paliw. Koszty opóźnionej dekarbonizacji zapłacą w nich nie tylko producenci przemysłowi czy duże spółki usługowe kupujące elektryczność na rynku hurtowym ale i odbiorcy detaliczni, korzystający z taryf regulowanych. Zbyt późna wymiana bloków energetycznych na nisko lub zeroemisyjne może być szczególnie bolesna w przypadku ciepłownictwa oraz ciepła przemysłowego bowiem dla wykorzystujących je gospodarstw domowych i firm jego udział w kosztach ogółem jest wielokrotnie wyższy niż energii elektrycznej. Podobnie może być w przypadku transportu – ci użytkownicy, którzy będą spóźniać się z zamianą samochodu spalinowego na elektryczny poniosą koszty podwójne: zakupu uprawnień w cenie benzyny i samej wymiany.

Z perspektywy indywidualnej receptą na uniknięcie obciążenia rachunków kosztami EU ETS, a dla niektórych nawet okazją do zarobienia na nich, są inwestycje w zeroemisyjne źródła energii elektrycznej (siłownie wiatrowe, fotowoltaikę, bloki jądrowe itp.) lub ciepła (np. pompy ciepła, biogazownie, geotermia itp.) czy środki transportu (np. samochody elektryczne, transport szynowy w miastach itp.), a także efektywność energetyczną (termomodernizację budynków, rekuperację ciepła w halach produkcyjnych, wymianę urządzeń na mniej energochłonne itp.). Wzrost cen uprawnień do emisji będzie dla coraz większej liczby podmiotów bodźcem by takiej zmiany dokonać, choć na przeszkodzie mogą stanąć bariery innego rodzaju: wiedzy (jakie działania podjąć w konkretnym indywidualnym przypadku), płynności (brak zdolności kredytowej) czy regulacyjnej.

Bójmy się raczej niedoborów energii

W tym kontekście narzuca się oczywiście pytanie o to dlaczego jakaś spółka energetyczna lub produkcyjna a nawet gospodarstwo domowe miałyby się znacząco rozmiąć ze światowym trendem technologicznym, nie reagując zarazem na czytelne bodźce wysyłane przez system EU ETS. Tu niestety docieramy do polityki. Dla naszych przyszłych rachunków za energię duże znaczenie ma bowiem zachowanie właścicieli firm oraz regulatora krajowego umożliwiającego inwestorom bezproblemową budowę źródeł zeroemisyjnych. Nie da się ukryć, że z obiema tymi rzeczami mamy w Polsce problem, zwłaszcza, że właścicielem przeważającej części aktywów a zarazem niekonsekwentnym regulatorem jest państwo. To, że pod względem tempa budowy źródeł zeroemisyjnych odstawiamy nie tylko od innych krajów UE ale także Wielkiej Brytanii, USA czy Chin, dzieje się w dużej mierze na nasze własne życzenie. Nikt nie kazał nam bowiem przez kilka lat procedować dwóch krańcowo różnych ustaw dot. odnawialnych źródeł energii, ani inicjować budowy kilku nowych bloków węglowych z pełną świadomością, że koszt produkcji w nich będzie narażony na wzrost ceny świadectw EU ETS. Nikt też nie zmuszał nas regulacyjnie utrudniać budowy nowych siłowni wiatrowych na lądzie, potem częściowo te regulacje zawieszać, a następnie parę lat rozpatrywać czy ich jednak zupełnie nie zliberalizować (bez konkluzji). Nikt nie wymagał od nas by kontrolowane przez państwo spółki energetyczne przejmowały od podmiotów zagranicznych gorące kartofle bloków węglowych, które tamte bardzo chętnie sprzedały słusznie przewidując, że czas niskich cen CO₂ właśnie się kończy. Nikt nas nie zmuszał by program jądrowy ciągnął się bez konkluzji przez kilkanaście lat, podczas gdy w tym samym czasie sąsiednia Słowacja podejmowała decyzje o budowie kolejnych bloków. Nikt nie zmuszał naszych polityków by tak oddziaływali na zarządy kontrolowanych przez państwo i samorządy spółek energetycznych i ciepłowniczych by te dużo więcej czasu poświęcały unikaniu decyzji, niż na planowaniu modernizacji chroniących je przed skutkami wzrostu cen CO₂.

Zmorą naszej polityki energetycznej jest odkładanie na później lub rozmydlanie rozstrzygnięć podejmowanych na wszystkich szczeblach decyzyjnych. Państwowe strategie dekarbonizacji są z roku na rok coraz ambitniejsze pozostając zarazem niezmiennie spóźnione o dekadę za planami reszty UE, w tym państw środkowoeuropejskich, unikając zarazem konkretnych wyborów strategicznych. Z kolei wywodzące się z nich aktywności regulacyjne koncentrują się nie na realnym przyspieszeniu procesu inwestycyjnego lecz na osiągnięciu krótkookresowych celów taktycznych dyktowanych przez bieżącą politykę. Wreszcie, finansowane ze środków publicznych działania wspierające dekarbonizację, mimo

coraz większego wolumenu (Polska powinna przeznaczać obecnie około 0,5% PKB na klimat) nie są w żaden sposób powiązane z osiąganiem mierzalnych celów pozwalających na realną redukcję emisji w skali makro. Nawet wspierane werbalnie przez rząd tak na polu krajowym jak międzynarodowym plany tzw. sprawiedliwej transformacji regionów węglowych przekuwają się bardzo wolno na konkretne działania pozwalające na

zastąpienie monokultur górniczych nowymi szansami gospodarczymi. Efektem jest nie tylko bezustanne spóźnienie z dywersyfikacją naszego bilansu energetycznego ale i podsycanie sceptycyzmu co do realności działań transformacyjnych. Faktycznie bowiem – skoro nie umiemy tak zorganizować otoczenia instytucjonalno-regulacyjnego by proces inwestycyjny w energetyce mógł toczyć się w sposób niezakłócony, powinniśmy spodziewać się wyższych cen energii i to niezależnie od tego czy ceny CO2 w Europie wzrosną czy nie.

Tajemnicą poliszynela w środowisku energetycznym, która nie przebiła się jednak jeszcze do szerszej opinii publicznej jest to, że naszym głównym problemem w tej dekadzie nie będzie to czy energia elektryczna i ciepło będą droższe czy tańsze niż w poprzedniej, lecz to czy w ogóle będą dostępne w ilości jakiej będziemy potrzebować. Większość polskich bloków energetycznych domykających system elektroenergetyczny a także ciepłowni w miastach jest już bowiem tak starych, że balansuje na granicy technicznego zużycia. Zarazem proces inwestycyjny ślimaczy się zduszony strategiczną ambiwalencją i operacyjną nieefektywnością polskiego państwa. Zamiast skupiać uwagę opinii publicznej na cenach energii i zwałać za to winę na Unię Europejską powinniśmy raczej przyznać sami przed sobą, że w ceny będą przez jakiś czas wyższe niż w poprzedniej oraz wyższe niż w krajach sąsiednich (przy tej samej cenie świadectw EU ETS) ze względu na nasze własne zaniedbania inwestycyjne. Przepaliliśmy bowiem dużą część czasu na budowę nowych zeroemisyjnych mocy i masową termomodernizację budynków, przeznaczając dochody budżetowe z podatków węglowych (dziś to już ponad 1% PKB) nie na inwestycje w nowe ciepłownie czy wsparcie dla OZE ale na transfery i konsumpcję. Zamiast otworzyć rynek energii dla prywatnych inwestorów zainteresowanych rozwojem OZE, woleliśmy blokować ich inwestycje licząc, że to wspomże spółki skarbu państwa drugą ręką zmuszane do przejmowania nie rokujących aktywów węglowych. Na przygotowaniach do projektu jądrowego spędziliśmy kilkanaście lat zaniedbując jednak proces budowy politycznego konsensusu gwarantującego, że – gdy ruszy budowa – jej dokończenie będzie niezagrożone. Ogólnie rzecz biorąc robiliśmy mniej więcej połowę tego co mogliśmy i co najwyżej jedną trzecią co powinniśmy. Nie dziwnym więc, że czekają nas teraz wyższe ceny energii oraz zupełnie realne niedobory mocy nawet jeśli ceny EU ETS będą niskie.

Czas nadrabiania zaległości

Dziś każda firma przemysłowa zastanawiająca się czy instalować fotowoltaikę i system rekuperacji ciepła w swojej hali produkcyjnej, albo dywagująca czy warto budować blok ciepła przemysłowego powinna zadać sobie pytanie czy jest stuprocentowo pewna, że energia z sieci będzie dla niej dostępna w takim zakresie, jakości i cenie na jaką mogła liczyć do tej pory. Na to samo pytanie powinni odpowiedzieć sobie samorządowcy wahający się czy zastąpić czterdziestoletnią ciepłownię w swoim mieście nową, dużo mniej emisyjną, a nawet poszczególne gospodarstwa domowe odkładające termomodernizację budynku i wymianę przestarzałego pieca węglowego na pompę ciepła w nadziei, że standardy ekologiczne oraz rachunki nie wzrosną ze względów politycznych. Czasu nie ma także rząd, który powinien – wzorem Narodowego Banku Polskiego i Rady Polityki Pieniężnej – przyznać się do błędów popełnionych w ocenie, otwierając szerokie drzwi do inwestycji w energetyce. Dotyczy to zarówno projektów prowadzonych bezpośrednio pod parasolem regulacyjnym czyli energetyki jądrowej i wiatrowej na morzu, które jeśli mają ruszać powinny ruszać teraz, jak i bardziej rozproszonych inwestycji w energetyce zawodowej, przemyśle, samorządach i gospodarstwach domowych. W tym drugim przypadku chodzi zwłaszcza o liberalizację regulacji dot. energetyki wiatrowej na lądzie i ponowne przemyślenie systemu wsparcia dla fotowoltaiki jak i

współfinansowanie z dochodów uzyskiwanych z EU ETS (ponad 20mld złotych rocznie) inwestycji w niskoemisyjne ciepłownictwo (samorządy), ogrzewnictwo (gospodarstwa domowe) i szeroki program termomodernizacyjny budynków prywatnych. Zarazem prywatni inwestorzy oraz sektor finansowy (przede wszystkim banki) powinni otrzymać ze strony regulatora (Rada Ministrów, KNF) i publicznych instytucji rozwoju (BGK, PFR) jednoznaczny sygnał o determinacji państwa w zakresie przeprowadzenia transformacji zeroemisyjnej w zgodzie z celami Porozumienia Paryskiego. Kluczowy jest tu zarówno sygnał strategiczny (harmonizacja celów Polski z celami UE na rok 2030, 2040 i 2050) jak i instytucjonalny (regulacje wspierające rozwój Zrównoważonego Finansowania oraz system gwarancji wspierający produkty bankowe skierowane do MŚP i gospodarstw domowych w zakresie wpisującym się w niskoemisyjną transformację). Czas na bierność lub połowiczne działanie już wyczerpaliśmy z nawiązką i choć wzrostu cen energii przez nasze spóźniałstwo już raczej nie unikniemy, to jeszcze nadal możemy uniknąć znacznie poważniejszych kosztów niedoborów mocy. Jeśli się postaramy wpływ opóźnień inwestycyjnych na nasze portfele będzie przejściowy, a nasz głos w UE w zakresie np. modyfikacji systemu EU ETS w sposób umożliwiający skuteczniejsze łagodzenie skutków wzrostu cen energii dla najbardziej wrażliwych grup społecznych, albo bardziej adekwatne rozłożenie kosztów transformacji w czasie i przestrzeni, będzie dużo lepiej słyszalny niż dotychczas.



WiseEuropa

ul. Królewska 2/26
00-065 Warszawa
tel.: +48 22 513 14 18
e-mail: office@Wise-Europa.eu

www.Wise-Europa.eu